

Asen Marczewski

RZYMSKI ŚLAD

Zapiski
tłumacza

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

DIALOG



Asen Marczewski

RZYMSKI ŚLAD

Zapiski tłumacza

przełożyła i opracowała
Hanna Karpińska

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie

DIALOG 

SPIS TREŚCI

ZAMIAST WSTĘPU

DOLA TŁUMACZA

WŁOCHY W PIGUŁCE

MARZENIE WYŁKADINA

LUKRECJA BORGIA BUŁGARKĄ?

BUŁGARIA I WATYKAN

BUŁGARZY WE WŁOSZECH

SZTUKA TŁUMACZENIA - BIAŁA MAGIA

KILKA HISTORYJEK Z ŻYCIA TŁUMACZA

Najbardziej tajemnicze miasto Włoch

Sycylijskie ślady Ali Ağcy

Mój grób na Sycylii

Pierścień kardynała

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

TAJEMNICE RZYMU

Grób Nerona

Egipskie obeliski

Koloseum

Szymon Mag

Menora

Campo dei Fiori

Widma, niebieskie znaki i inne legendy

Magiczne drzwi na Piazza Vittorio

Papieże - czarnoksiężnicy

Muzea życia pozagrobowego

Tajniki ambasady bułgarskiej

Moi dziwni rzymscy przyjaciele

„BUŁGARSKI ŚLAD” CZYLI „SPRAWA ANTONOWA”

Początek

Watykańskim tropem

Ile było zamachów na Jana Pawła II?

Mehmet Ali Ağca

Sergej Antonow

Želio Wasilew

Todor Ajwazow

Ilario Martella

Severino Santiapicchi

Moja sytuacja

Błędy strony bułgarskiej w „sprawie Antonowa”

ANATOMIA ZAMACHU

PAPIEŻ W BUŁGARII

ZAMIAST POSŁOWIA

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Tytuł oryginału: *Rimski potajności*

Copyright © Asen Marczewski

Copyright © for the Polish translation by Hanna Karpińska 2009

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie Dialog 2009

Redakcja i korekta

Helena Kamińska

Projekt okładki

Anna Gogolewska

Skład i łamanie

Ewa Majewska

Konwersja do EPUB/MOBI

InkPad.pl

Fotografia Rzymu na okładce: S. Greg Panosian/iStockphoto.com

Fotografie w książce z archiwum Autora

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

EPUB 978-83-8002-406-9

MOBI 978-83-8002-403-8

Wydanie elektroniczne, Warszawa 2015

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel/faks: (0 22) 620 87 03

e-mail: biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl

<http://www.wydawnictwodialog.pl>

ZAMIAST WSTĘPU

Moja kariera zawodowego tłumacza rządowego przebiegała w nader trudnych warunkach. Były to złożone i pełne napięć czasy: bezwzględny reżym komunistyczny w Bułgarii, zimna wojna, niesłuszne oskarżenia Bułgarii w związku z zamachem na Papieża Jana Pawła II. Wieloletnie doświadczenie i mocne nerwy pomogły mi w przetrwaniu wielu trudnych momentów, z których najcięższe przypadły na okres mojej pracy tłumacza w ambasadzie bułgarskiej w Rzymie. Wtedy właśnie miał miejsce zamach na Papieża, pojawił się tak zwany „bułgarski ślad” i na mnie, jako na oficjalnego bułgarskiego tłumacza w Rzymie, spadło zadanie przełożenia na język bułgarski dokumentów śledztwa przeciwko Sergejowi Antonowowi, których zebrało się w sumie ponad dwanaście tysięcy stron, oraz symultanicznego tłumaczenia podczas całego rzymskiego procesu przeciwko moim rodakom. Oczywiście niesłuszność formułowanych wówczas oskarżeń bolała mnie tym bardziej, że sam już wcześniej wielokrotnie byłem tłumaczem Jego Świątobliwości Papieża Jana Pawła II i miałem liczne dowody życzliwości i zaufania, jakimi darzył moją skromną osobę zarówno Watykan, jak i sam Ojciec Święty.

Jako tłumacz rządowy pracowałem dla dwunastu włoskich ministrów spraw zagranicznych, pięciu prezydentów Republiki Włoskiej, dla takich polityków, jak Aldo Moro czy Giulio Andreotti, a także dla wielu ministrów dwudziestu trzech włoskich gabinetów, jakie rządziły krajem podczas długich trzydziestu lat mojej pracy w tym zawodzie... Czasem myślę sobie, że wykonywanie zawodu tłumacza to ciężki krzyż, a przychodzi mi go do tej pory brać na ramiona mimo upływu czasu i teorii głoszących, że tłumaczenia ustne można wykonywać najwyżej do 58-60 roku życia...

Szczególnie pamiętne były dla mnie te momenty, kiedy tłumaczyłem dla przedstawicieli Watykanu, kardynałów: Casarolego, Silvestriniego, Sodano... I oczywiście dla papieży: Jana XXIII, Pawła VI i Jana Pawła II.

Wiem, jak dobrze znane jest w Polsce życie i działalność Jana Pawła II, a także ślad, jaki pozostawił On w pamięci całej ludzkości. Nie mogę się jednak oprzeć pokusie podzielenia się swoimi własnymi wrażeniami z kontaktów i spotkań z tak wyjątkową osobą, a także refleksjami na temat „kuchni” biura protokołu (*Cerimoniale*) państwa watykańskiego.

Osobowość Jana Pawła II zrobiła na mnie piorunujące wrażenie: uczony, teolog, a na dodatek poliglota, władający francuskim, niemieckim, rosyjskim, włoskim... A także bułgarskim.

Tu muszę wyjaśnić, że często podczas tłumaczeń ustnych powstaje jakaś niewidzialna nić łącząca mówcę z tłumaczem. Ilekroć tłumaczyłem podczas wizyt naszych delegacji u Papieża Wojtyły, tylekroć odnosiłem wrażenie, że słowa bułgarskich gości zostają przyjęte i zrozumiane zanim jeszcze pada ich tłumaczenie.

Papież miał pogodne usposobienie, lubił żartować, żartował i ze mną, nazywając mnie z racji polsko brzmiącego nazwiska „Polakiem ukrywającym się u komunistów z ambasady bułgarskiej w Rzymie”.

Ktoś opowiedział Ojcu Świętemu, że w 1975 roku, kiedy tłumaczyłem podczas oficjalnej wizyty kardynała Agostino Casarolego w Bułgarii, po mszy, jaką odprawił w kościele katolickim w Płowdiwie, pozwalałem młodemu bułgarskim katoliczkom, które nie mogły się docisnąć do kardynała, całować moją własną rękę – miałem na sobie, podobnie jak kardynał, czarny płaszcz i jako osoba pozostająca w jego bezpośredniej bliskości mogłem zostać uznany za jakiegoś prałata, znajdującego się w oficjalnej delegacji.

- To wielki grzech, Marczewski, wielki grzech... - kręcił głową Papież. - Rozumiem, że chciałeś pomóc kardynałowi przy wychodzeniu ze świątyni i mógłbym ci wybaczyć to podszywanie się, ale że podawałeś młodemu katoliczkom gołą rękę do całowania... Całuje się przecież pierścień, sygnet, a nie rękę. Żebyś chociaż przełożył go z lewej ręki na prawą... Bo tych sygnetów masz a masz, widziałem u ciebie i sygnet z ametystem, i z jakimś szczególnym krzyżem templariuszy, kto wie, od kogo go dostałeś... Powiadam ci, to wielki grzech...

Z punktu widzenia tłumacza Papież Jan Paweł II był idealnym mówcą: mówił powoli, krótkimi, dobrze skomponowanymi zdaniami, które jasno wyrażały zawartą w nich myśl, pozbawione były niepotrzebnych ozdobników, ale jednocześnie stanowiły wspaniały przykład sztuki przemawiania, a każdy ich wyraz nasycony był maksymalną informacją. Poza tym miał rzadką cechę: Jego twarz przemawiała razem ze słowami – coś, co w teorii tłumaczenia ustnego nazywamy komunikacją pozawerbalną i co znakomicie ułatwia przekaz. Pod tym względem pełnym przeciwieństwem Papieża był ksiądz (obecnie kardynał) Stanisław Dziwisz: wyjątkowo mądry i odczytany, przebiegły jak lis, uważnie analizujący rozmówcę i z kamienną twarzą sfinksa wążący każde wypowiedziane przez siebie słowo, podobnie jak były włoski premier Giulio Andreotti. Nieprzypadkowo to właśnie jemu najbardziej zaufała Ojciec Święty: ksiądz Dziwisz zbudował wokół Papieża szczelny mur, otoczył go najwierniejszymi z najwierniejszych i właściwie poświęcił całą swoją drogę życiową tylko i wyłącznie bezpieczeństwu, zdrowiu i spokojowi Jana Pawła II.

I udało mu się. Bo przed tureckim terrorystą, Szarym Wilkiem Mehmetem Ali Ağca^[1] nikt przecież nie byłby w stanie Papieża uchronić.

O Ağcy obszerniej napiszę dalej. Tu tylko powiem, że zamach na Ojca Świętego Jana Pawła II był dziełem radykalnych islamskich terrorystów, którzy na dwa lata przed 13 maja 1981 roku opracowali szczegółowy plan zlikwidowania „przywódcy krzyżowców” – tak nazywali papieża zarówno islamscy fundamentaliści, jak i irański ajatollah Chomejni (a wiadomo, że Ağca był szkolony w obozie terrorystów w Iranie). Wzmiankę o „przywódcy krzyżowców” znajdujemy też we własnoręcznie napisanym przez Ağcę liście, wysłanym do tureckiej gazety „Milliyet” półtora roku przed zamachem! Na ten plan składały się trzy elementy: plan „A”, którego realizacja wyznaczona była na 10 maja 1981 roku, plan „B” – 13 maja, i plan „C”, zastosowany późnym popołudniem tego samego dnia w klinice Gemelli podczas operacji ранego Papieża.

Dlaczego ja, skromny tłumacz ambasady, napisałem tę książkę? Powodowało mną wielkie pragnienie udowodnienia bułgarskim czytelnikom, a także czytelnikom włoskim (przekład książki ukazał się w Rzymie w 2001 roku) i teraz także polskim, że my, Bułgarzy, przy wszystkich naszych bałkańskich wadach i niedostatkach (słusznie nas czasem nazywają *homo balkanicus*) nie ponosimy najmniejszej winy za zamach skierowany przeciwko Janowi Pawłowi II. Wprost przeciwnie, darzymy Go wielkim uczuciem, a sam Papież szeroko otworzył przed bułgarskimi historykami Tajne Archiwa Watykanu, w których nasi uczeni znajdują bezcenne źródła dotyczące naszej historii i kultury, przechowywane tam od stuleci.

Napisałem tę książkę na cześć wielkiego przyjaciela Bułgarii, Papieża Jana Pawła II, na cześć Polaka Karola Wojtyły, z którym miałem zaszczyt pracować jako tłumacz podczas 37 audiencji.

Mówią, że zawód tłumacza wpływa na stopień wrażliwości, czyni człowieka gruboskórnym. Widzę to po sobie. Gdy po długiej chorobie zmarła moja matka, nie umiałem powstrzymać łez, szybko się jednak opanowałem. Tak samo było po odejściu mojej żony, poprzedzonym ciężką i pełną cierpienia chorobą. Dopiero po pogrzebie Ojca Świętego...

Tłumaczyłem na żywo dla telewizji bułgarskiej podczas całej ceremonii przed bazyliką Świętego Piotra, aż do zamknięcia trumny i jej wniesienia przez centralne drzwi do wnętrza kościoła. Mikrofony działają mobilizująco – tłumaczyłem niemal obojętnie, jakbym był robotem. Po zakończeniu transmisji pożegnaliśmy się z realizatorami. Idąc samotnie długim korytarzem wytwórni telewizyjnej zobaczyłem uchylone drzwi jakiegoś składziku z kulawym krzeselkiem w środku. Wszedłem do środka, zamknąłem za sobą drzwi.

I wybuchłem takim płaczem, jakiego nie znałem od dzieciństwa. Płakałem przez ponad godzinę, nie mogłem się powstrzymać. Przed oczami, jak na dokumentalnym filmie, przesuwały mi się sceny z audiencji, w których uczestniczyłem jako tłumacz. I rozbrzmiewały mi w pamięci słowa Papieża-Polaka, kilkakrotnie wypowiedziane podczas tych spotkań: „Zrozumcie, ani Stolica Piotrowa, ani ja nie obciążamy Bułgarów winą za ten zamach. Wiem, że naród, dla którego

polski król Władysław Warneńczyk przelał w 1444 roku swoją krew w walce przeciwko Turkom, że taki naród nigdy nie będzie strzelał do Polaka!”.

^[1] Nazwisko zamachowca podaje się w oryginalnej tureckiej pisowni. Prawidłowa wymowa: Aadża, literę „c” czyta się jak „dż”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

DOLA TŁUMACZA

Stare arabskie przysłowie mówi, że komu sądzony stryczek, ten nigdy nie utonie. Moja babcia też tak mówiła, a o wiele później w złowieszczym włoskim więzieniu na wyspie Asinara, gdzie spędziłem kilka godzin, tłumacząc dla bułgarsko-włoskiego śledztwa, jeden z wielkich bossów mafijnych powtórzył mi – przy filiżance kawy, wzmocnionej po włosku odrobiną alkoholu – to samo przysłowie w wariacie sycylijskim. Taki mi już widać był pisany los: Włochy, język włoski, włoskie delegacje, włoscy dyplomaci i ministrowie, włoskie aktorki i śpiewaczki, włoskie książki i słowniki, włoskie spaghetti i pizza, włoska policja i włoscy sędziowie...

W 1958 roku zdawałem egzamin wstępny na Wydział Filologiczny Uniwersytetu Sofijskiego i znalazłem się wśród dwudziestu osób przyjętych na romanistykę. Konkurencja była spora – aż trzystu kandydatów – ale udało się. Zawsze lubiłem języki, pochodzę z rodziny o literackich tradycjach, z bułgarskiego i przedmiotów humanistycznych miałem same szóstki. Wyobrażałem sobie, że po skończeniu studiów będzie na mnie czekać praca redaktora w redakcji francuskiej Radia Sofia lub nauczyciela-romanisty oraz spokojna przyszłość wśród książek Dumasa, Beaudelaire'a, Stendhala, Rostanda i Zoli.

Ale komu sądzony stryczek, ten nigdy nie utonie. A mnie sądzony był zwariowany włoski język i szalone Włochy, sądzona była nasza wspaniała ambasada w najbardziej włoskim z włoskich miast – Rzymie i niekończące się tłumaczenia we włoskich ministerstwach, sądach, komisariatach, więzieniach i innych instytucjach.

Sam los tak chciał.

W kilka dni po wywieszeniu list przechodziłem przez dziedziniec uniwersytetu i postanowiłem jeszcze raz zerknąć na swoje nazwisko. I wtedy tuż obok zobaczyłem ogłoszenie mówiące, że są jeszcze wolne miejsca na wydziale italianistyki i że każdy z kandydatów przyjętych na jakąkolwiek neofilologię może przenieść się na ten kierunek. Pamiętam, że ledwie przeczytałem to ogłoszenie, huknął piorun i lunął

ulewny deszcz. Pobiegłem schować się w ponurą bramę, wychodzącą na bulwar Car Oswoboditeł i tam, przy akompaniamencie grzmotów i ulewy, podjąłem decyzję. Jak stałem, jeszcze mokry od deszczu, poszedłem do dziekanatu złożyć podanie na italianistykę.

Nikt mi niczego nie doradzał, a i ja sam nie miałem zbyt wielkiej wiedzy o Włoszech i o włoskiej kulturze. Dopiero dużo później, już jako tłumacz, miałem okazję się przekonać, że w tym kraju, który wydał Dantego, Michała Anioła i Felliniego, półtora miliona mieszkańców (na 58 milionów – dane z 1991 roku) to całkowi analfabeci, podpisujący się krzyżykiem; że większość Włochów nigdy nie widziała Pompei czy Koloseum nie tyle z powodu braku środków, ile dlatego, że zabytki po prostu ich nie interesują; że 83 % mieszkańców Rzymu nie przekroczyło progu Muzeum Watykańskiego czy Muzeum Villa Borghese; że na stu Włochów aż 61 nie przeczytało w ciągu ostatniego roku (dane z 1997 roku) ani jednej książki; że wreszcie „Bułgaria” i „Ungheria” (Węgry) to dla większości Włochów z grubsza to samo państwo, a stolicę naszego kraju lokują gdzieś w Bukareszcie czy Budapeszcie.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Dla przeciętnego Włocha Bułgaria to egzotyczny kraj Orientu, położony daleko na wschodzie, gdzieś z tamtej strony Turcji. Nie mogą uwierzyć, że przelot Rzym-Sofia trwa półtorej godziny i że trasa samochodowa z Triestu do Sofii liczy zaledwie 650 kilometrów.

Nie zapomnę pytania, jakie podczas przyjęcia, wydanego przez naszą ambasadę z okazji 1300-lecia państwa bułgarskiego, zadała mi

pewna włoska hrabina, intelektualistka, matka wybitnej pianistki: „Panie Marczewski, proszę mi powiedzieć, ale tak szczerze: czy w Bułgarii są jeszcze ludożercy?”. Spróbowałem spokojnie wyjaśnić parę rzeczy, zaczynając od Cyryla i Metodego, poprzez bułgarskich garibaldińczyków, aż do królowej Joanny Sabaudzkiej; starsza pani uprzejmie mnie wysłuchała, po czym spytała: „A może jacyś ludożercy uchowali się gdzieś na wyspach Morza Czarnego?”. Najdelikatniej jak umiałem odparłem, że na Morzu Czarnym jest tylko jedna wyspa, nazywa się Bolszewik, dawniej zsyłano na nią komunistów, a teraz nikt tam nie mieszka – ale i tak mi nie uwierzyła.

Większość Włochów nie rozumie wyrazu *slavo* (Słowianin). Kojarzą je z Cyganami, którzy całymi masami napływają do Włoch z terenów dawnej Jugosławii. Nic nie wiedzą o Słowianach Wschodnich, Zachodnich i Południowych, nie potrafią zrozumieć, że państwo bułgarskie powstało ze złączenia się Słowian z Protobułgarami. Próby wyjaśniania słowiańskiego pochodzenia Bułgarów traktują jako dążenie do ukrycia istnienia w narodzie bułgarskim cygańskich elementów etnicznych i nic nie jest w stanie ich przekonać, że się mylą.

Włosi nie znają zresztą również swojej własnej historii. Są przekonani, że grób Nerona znajduje się w miejscowości o takiej właśnie nazwie - Tomba di Nerone, położonej przy rzymskiej obwodnicy, podczas gdy w rzeczywistości cesarz-podpalacz pochowany został w centrum dzisiejszego Rzymu, przy Piazza del Popolo, pod ołtarzem kościoła Santa Maria del Popolo; starożytne Pole Marsowe sytuują w pobliżu Orvieto, sto kilometrów od Rzymu, podczas gdy znajduje się ono na lewym brzegu Tybru, naprzeciwko Zamku św. Anioła, niemal *vis a vis* Watykanu. Jakkolwiek próby dyskusji mijają się z celem i tylko rozdrażniają rozmówców, przekonanych o swojej nieomyślności. Taką postawę odczuł na własnej skórze już ponad 1100 lat temu św. Konstantyn-Cyryl, gdy podczas dysputy z rzymskimi kapłanami w 869 roku na pytanie „Ojcze, dlaczego się tak spociłeś?” odparł: „Bo wiodłem spór z nieukami...”.

Przed 1983 rokiem często otrzymywaliśmy w ambasadzie listy do naszych instytucji, zaadresowane: „Sofia - Romania” lub „Bukurest - Bulgaria”. I gdyby nie zamach na Papieża, Włosi być może dalej nie mieliby pewności, jakiego państwa stolicą jest Sofia, gdzie leży Bułgaria i czy w tym kraju nie ma ludożerców.

Gdzieś w latach siedemdziesiątych pojawił się w ambasadzie włoski minister rolnictwa, który chciał się skontaktować telefonicznie ze swoim bułgarskim odpowiednikiem, Petyrem Tanczewem. Czekał w salonie na rozmowę z Sofią, a ja miałem tłumaczyć. Były jakieś kłopoty z połączeniem, w końcu minister przyszedł czekać do mojego obskurnego gabinetu, wyposażonego w dwie maszyny do pisania

i rozchwierutane krzeselka. Poczęstowałem ministra papierosem, przyniesiono kawę i koniak, ale rozmowy z Tanczewem ciągle nie było. Zacząłem się denerwować, bo miałem pilne tłumaczenie do zrobienia, a głupio mi było zabierać się do pracy w obecności ministra. W końcu złapałem słuchawkę, zamieniłem parę słów z telefonistką i powiedziałem: „To była sekretarka pana Tanczewa, on właśnie wszedł na palmę zrywać banany, może pan zechce poczekać w salonie, w ciągu kwadransa powinno być połączenie”. Minister dał się złapać na te banany i bez najmniejszego zdziwienia zauważył: „Aha, pan Tanczew jest w swojej podmiejskiej rezydencji!...”.

Dyrektor protokołu włoskiego MSZ, zawodowy dyplomata i człowiek wyjątkowej uprzejmości, zwierzył mi się kiedyś po wizycie naszej delegacji w Pompejach: „Dobrze, że ta delegacja przyjechała, gdyby nie to, nigdy bym tu nie trafił. Tacy już jesteśmy my, Włosi – leniwi i lekceważący skarby kultury...”.

Nie chcę przez to wszystko, co dotychczas powiedziałem, urazić moich licznych włoskich przyjaciół. Są to fakty, zresztą oni sami znają siebie najlepiej. Oczywiście są wśród Włochów również ludzie o prawdziwie wysokiej kulturze i erudycji. Zresztą my, Bułgarzy, wcale nie jesteśmy lepsi. Ilu mieszkańców Sofii odwiedza Narodowe Muzeum Historyczne lub Galerię Malarstwa?

A Bułgarzy za granicą to już zupełnie osobny rozdział. W tej dziedzinie przebogatym źródłem doświadczeń była dla mnie moja dwunastoletnia praca w otoczeniu bułgarskich dyplomatów i półdyplomatów (personelu technicznego) naszej ambasady w Rzymie. Ale o tym dalej.

W trakcie mojej pracy tłumacza – zarówno w Bułgarii, jak i we Włoszech – wiele widziałem i słyszałem, wiele się nauczyłem. Obsługiwałem wizyty przedstawicieli władz bułgarskich, składane trzem papieżom: Janowi XXIII, Pawłowi VI i Janowi Pawłowi II. Wielokrotnie tłumaczyłem dla takich polityków, jak Giulio Andreotti i Aldo Moro; jak prezydenci Giovanni Leone, Sandro Pertini, Francesco Cossiga, Oscar Luigi Scalfaro i Carlo Ciampi; jak Enrico Berlinguer, Giovanni Agnelli (właściciel Fiata), De Benedetti (prezes Olivetti), jak

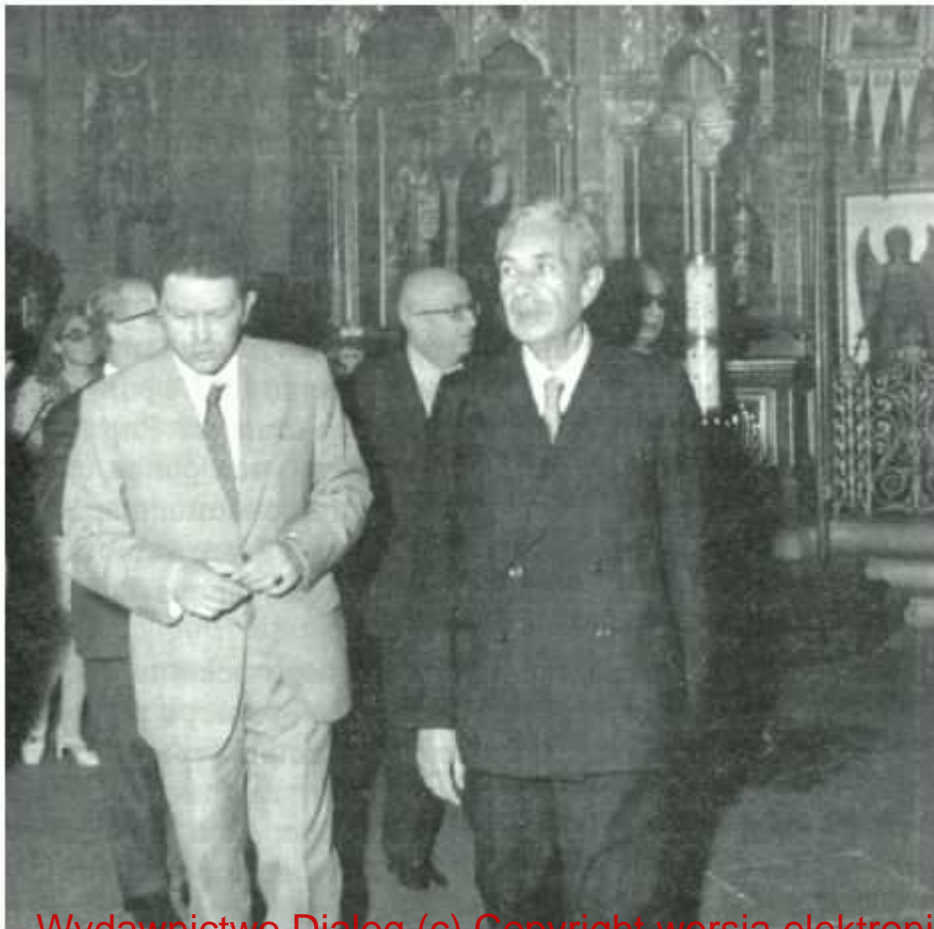
wreszcie Bettino Craxi i dwudziestu kolejnych włoskich ministrów spraw zagranicznych. Dwukrotnie zetknąłem się z osławionym szefem loży masońskiej P-2, samym Licio Gellim; zdarzało mi się też w trakcie negocjacji handlowych jeść i pić w towarzystwie szefów mafii.

No i „sprawa Antonowa” – od momentu aresztowania Sergeja do jego zwolnienia, całe trzy lata, 1198 dni bez przerwy, bez urlopu, bez weekendów. Nie mogłem pojechać nawet na pogrzeb matki, bo właśnie tłumaczyłem w kabinie podczas procesu.

Czasem sobie myślę, że całe moje życie zawodowe, zwłaszcza dwanaście rzymskich lat, przypomina jakiś niekończący się serial, w którym stale dzieje się coś nowego: aresztowany obywatel bułgarski, zatrzymany statek, w południe katastrofa na autostradzie z udziałem bułgarskiego samochodu łącznie z identyfikacją ofiar, wieczorem koktajl wydany przez prezydenta Republiki Włoskiej, w nocy szpital i operacja synka konsula, podczas której „tłumacz niech będzie na wszelki wypadek pod ręką”, i tak dalej, i tak dalej. Tłumaczenia filmów na żywo, tłumaczenia przemówień, tłumaczenia przy obiadach i kolacjach, Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna podczas których nie dają ci nawet szklanki wody. Z moich bardzo przybliżonych obliczeń wynika, że w sumie na terenie Bułgarii i Włoch uczestniczyłem jako tłumacz kabinowy w co najmniej 1200 międzynarodowych konferencjach, sympozjach i kongresach. Nie doczekałem się – przynajmniej ze strony bułgarskiej – żadnego szczególnego uznania; w Rzymie nie miałem rangi dyplomatycznej ani takiegoż paszportu, co oznacza, że zarabiałem dwa razy mniej od tzw. „dyplomatów” (dalej wyjaśnię to użycie cudzysłowu), czyli mniej więcej ćwierć tego, co otrzymywał śmieciarz zatrudniony przez rzymską administrację.



Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
Jedną z audiencji u Papieża Jana Pawła II. Rozmawiamy
o polskim królu Władysławie Warneńczyku, który w 1444 roku
zginął w obronie Bułgarii.



Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Rok 1974 - ostatnia wizyta Alda Moro w Bułgarii. Zwiedzanie cerkwi-muzeum pod przełęczą Szipka, zbudowanej w 1902 roku dla uczczenia 25. rocznicy wyzwolenia Bułgarii spod niewoli osmańskiej.

A jednak nie żałuję tych czasów, ich oszałamiającego tempa, codziennych spotkań z przedstawicielami najbardziej niezwykłych zawodów, zmieniających się jak w kalejdoskopie miejsc, konwencji i tematów, wreszcie stawiania czoła konieczności sprostania tym zmianom z niezmiennie czujną uwagą i profesjonalizmem.

Uznanie spotkało mnie ze strony Włochów: gdzieś koło 1978 roku zostałem kawalerem krzyża oficerskiego Orderu Zasługi Republiki Włoskiej. Włosi do tej pory zwracają się do mnie *Cavaliere*, ale to jedyna pozytywna konsekwencja tego wyróżnienia. Nie brakło za to negatywnych: komuniści z naszej ambasady zaczęli na mnie patrzeć jak na „włoską wtyczkę” i ostatnią rzeczą, o której pomyśleli, była zmiana mojego statusu czy podwyżka; słowem trzymali mnie tam tylko dlatego, że byłem im niezbędnie potrzebny. Za to w Sofii moi koledzy

tłumacze uznali mnie za mafiosa: dowiedzieli się, że dotyczący mojej osoby dekret podpisał będący wówczas premierem Andreotti, więc „wszystko jasne, nasi go trzymają w ambasadzie, stoi za nim mafia, dobrze wiemy, co za ptaszek z tego Marczewskiego”. Do tego doszła czysto zawodowa zawiść: akurat w tym samym czasie w gazecie „Il Messagero” ukazał się artykuł o sztuce tłumaczenia, w którym wymieniono mnie jako jednego z trzech najszybszych tłumaczy kabinowych na świecie (Japończyk, Rosjanin i Bułgar Marczewski). Zanim się o tym dowiedziałem, treść artykułu musiała dotrzeć do Sofii – pewnie poprzez włoską redakcję Radia Sofia – bo zaraz do działu kadr Ministerstwa Spraw Zagranicznych wpłynął donos na moją skromną osobę. Dobrze, że akurat byłem potrzebny przy przesłuchaniach w sprawie Mehmeta Ağcy i przy samym procesie, bo inaczej kto wie, co by mnie mogło spotkać.

Wracam do swoich doświadczeń tłumacza. Język włoski, wbrew pozorom, nie jest najłatwiejszy. W jego gramatyce panuje anarchia, sami Włosi dobrze jej nie znają. Często mi mówiono: „Pamiętaj, że jesteśmy na bakier z językiem literackim, dialekty są u nas stale w użyciu”. Nic dziwnego, przecież nowożytnie państwo włoskie powstało niemal równocześnie z nowożytnym państwem bułgarskim, dopiero w drugiej połowie XIX wieku, w czasach Garibaldiego. Przedtem istniały odrębne państwa z ośrodkami w Wenecji, Florencji, Neapolu, Genui czy na Sycylii, każde z własnym odrębnym dialektem i z własnym specyficznym językiem prawniczym i politycznym. O rzeczywistej unifikacji języka włoskiego możemy mówić na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat, a głównym jej podmiotem jest telewizja. Dodajmy do tego szybkie tempo mówienia, znane chociażby z włoskich filmów, i stanie się jasne, że praca tłumacza języka włoskiego, a zwłaszcza tłumacza ustnego (symultanicznego), do łatwych na pewno nie należy.

Włoscy politycy są urodzonymi mówcami. Na dodatek wielu z tych, z którymi pracowałem jako tłumacz, było prawnikami, głównie wykładowcami prawa na uniwersytetach: Aldo Moro, Giulio Andreotti, Enrico Berlinguer, Giovanni Leone, Francesco Cossiga. Tacy politycy,

pewni siebie i przekonani o słuszności tego, co mają do powiedzenia, chętnie dają dowody swojego oratorskiego kunsztu, mniej myśląc o tym, że ich wypowiedzi muszą zostać przetłumaczone. Na dodatek składnia włoska jest skomplikowana i zarówno w literaturze klasycznej, jak i we współczesnej prasie nie należą do rzadkości zdania zajmujące dziesięć i więcej wierszy. Politycy też lubią takie zdania, zwłaszcza kiedy zależy im na ukryciu prawdziwego sensu tego, co mają do powiedzenia.



Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

1988 rok - ostatnia wizyta Giulia Andreottiego w Bułgarii

Wyjątkiem pod tym względem był Giulio Andreotti - urodzony dyplomata zarówno w myślach, jak i w słowach, wyjątkowo odczytany i mądry polityk. Podczas rozmów stale pamiętał, że jego słowa są tłumaczone na inny język, i gdy chciał powiedzieć coś szczególnie ważnego, zamykał tę treść w zdaniu składającym się z nie więcej niż siedmiu-ośmiu słów. Mówił powoli, z pauzami na tłumaczenie. Te pauzy nie były jego ukłonem wobec mojej osoby: gdy ja tłumaczyłem,

on obserwował twarz szefa naszej delegacji i jego reakcje. Jeśli „nasz” się machinalnie uśmiechał czy kiwał głową, Andreotti rozwijał swą myśl (i zarazem swą polityczną misję) w pierwotnie obranym kierunku. Jeśli jednak dostrzegał jakiś sygnał sprzeciwu, rzucał po pauzie: „Tak, ale z drugiej strony...” i po zwrocie o sto osiemdziesiąt stopni zaczynał grać na całkiem innej nutę. Wielokrotnie tłumaczyłem rozmowy z jego udziałem i ta subtelna metoda negocjowania zawsze robiła na mnie wrażenie.

Pod koniec kariery politycznej Andreottiego oskarżono o współpracę z mafią... Wkrótce został oczywiście oczyszczony z podejrzeń, bo każdy rozumiał, że taki polityczny lew jak on nigdy nie zniżyłby się do jakichkolwiek kontaktów z mafiosami.

Mój szczególny stosunek do niego wynika nie tylko z długiej znajomości i pewnej zażyłości, której wyraz stanowią wymieniane między nami listy. Andreotti był pierwszym włoskim politykiem, który nader odważnie jak na owe czasy oświadczył, że „Bułgarzy nie mają nic wspólnego z zamachem na Papieża i tzw. bułgarski ślad w ogóle nie istnieje”. Powiedział to w obecności mojej i naszego ambasadora już

w dziesięć dni po aresztowaniu Sergeja Antonowa, gdy na naszą prośbę przyjął nas w swoim prywatnym gabinecie na Via del Corso. Potem potwierdził te słowa w swojej książce i w kilku artykułach.

Później jeszcze wrócę do tego spotkania.

Obserwowana z zewnątrz praca tłumacza wygląda fantastycznie: widzą cię w telewizji w towarzystwie dwóch prezydentów, na pierwszej stronie gazety w otoczeniu ministrów czy w rządowych gabinetach, a na drugi dzień w tramwaju dawny kolega krzyczy z drugiego końca: „Widziałem cię w telewizji z ministrem spraw zagranicznych, to ty byłeś, nie?” - i cały tramwaj przygląda ci się spode łba jak małpie w ZOO. Albo przedrukowywane przez wszystkie gazety zdjęcie z podpisania ważnej umowy, na którym stoisz ramię w ramię z ministrem, trzymając kieliszek szampana. Nie ma nic gorszego niż taka popularność, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi szampan. Jeszcze dziś niektóre sąsiadki z kamienicy na mój widok delikatnie milkną, po czym za plecami słyszę syczące szepty: „Glista i karierowicz! Dawniej bez

przerwy jadł i pił z Todorem Żiwkowem, teraz ciągle je i pije z Georgi Pyrwanowem, a i z nuncjuszem papieskim go widziałam w telewizorze! On dobrze wie, z której strony wiatr wieje i wcale się nie zdziwię, jeśli przeszedł na katolicką wiarę!”.

Opinia publiczna uważa, że tłumacz odżywia się głównie kawiozem, łososiem i rakami, zamiast wody pije szampana i francuskie koniaki, jeździ kuloodpornym mercedesem, a buty i garnitury kupuje mu państwo. Nikt nawet nie podejrzewa, że podczas „roboczych obiadów” tłumacz siedzi za szefem delegacji na niewygodnym stołku, nie dostaje nawet szklanki wody, a o zapaleniu papierosa w ogóle nie ma mowy. Jeśli łaskawie zostanie dopuszczony do stołu, to i tak należy mu się tylko łyk wody czy wina, bo wzięcie czegokolwiek innego do ust grozi mu zadławieniem. Doświadczeni dyplomaci i politycy dobrze opanowali sposób jedzenia przy takich „roboczych obiadach”: podczas gdy jeden z nich mówi, drugi operuje sztucami, przełyka i słucha. Potem odpowiada, a jego partner słuchając podnosi sztucę do ust. I tak się wymieniają. A tłumacz tylko słucha i tłumaczy - w jedną i w drugą stronę. **Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna**

Do klasyki należy opowieść o tłumaczu Stalina podczas rozmów z Amerykanami i Anglikami pod koniec drugiej wojny światowej. W trakcie oficjalnego obiadu tłumacz źle obliczył czas trwania tłumaczonej wypowiedzi i nie zdążywszy przełknąć, mocno się zakrztusił. Stalin go ostro ofuknął („Nie miałeś kiedy jeść?!”) i od tej pory KGB czuwało nad tym, by przed takimi obiadami tłumacz zjadał kromkę chleba ze smalcem i wypijał szklankę osolonej wody.

Osoba tłumacza sytuowana jest zazwyczaj w grupie określonej jako „personel techniczny i inni”. Już car Piotr I, który dokładnie przestudiował protokół stosowany przez Niemców, podczas swoich zagranicznych podróży przeznaczył naszym ówczesnym kolegom miejsce na szarym końcu orszaku towarzyszącego władcy: „W ostatnim wozie jadą służący, stajenni, tłumacze i inna tego typu swołocz”.

Od tamtej pory sytuacja niewiele się zmieniła. Zazwyczaj dzień pracy tłumacza zaczyna się około 8 rano i trwa do 22 wieczorem, czyli 14 godzin bez przerwy. Podczas posiłków tłumacz siedzi z tyłu za

delegacją i dobrze, jeśli dostanie szklankę wody. Jeśli nie dostanie - też dobrze, bo przynajmniej nie będzie musiał chodzić do toalety, pozostawiając gości bez tłumaczenia. Żeby nie paść na posterunku, doświadczony tłumacz ma zawsze w kieszeni oficjalnego garnituru parę krakersów czy herbatników, które czasem udaje mu się przełknąć w pośpiechu.

Nie należą do rzadkości i takie sytuacje:

Powrót delegacji bułgarskiej z Rzymu. Na lotnisku w Sofii delegacja przechodzi przez stojący w pewnej odległości od budynków lotniska pawilon dla VIP-ów. Gwar i hałas, tłumy dziennikarzy i urzędników z ministerstw i resortów, przybyłych na powitanie swoich ukochanych szefów. Dobrze przynajmniej, że odprawa zredukowana jest do minimum, przybijają ci stempel w paszporcie i to wszystko.

Rozgwar trwa przez trzy czy cztery minuty, potem członkowie delegacji wsiadają do samochodów i z piskiem opon odjeżdżają, jakby losy kraju zależały od ich zjawienia się w gabinetach. A tłumacz pozostaje na schodkach pawilonu, bo nikomu nie przyszło do głowy podrzucić go do śródmieścia, nikt nie pomyślał, żeby mu powiedzieć „Dziękuję” czy choćby kiwnąć głową. Świszczą opony, cichnie szum silników, tłumacz bezradnie się rozgląda, po czym zapala papierosa i z neserem w ręce wędruje w stronę lotniska, na pętlę autobusu miejskiego, zastanawiając się, gdzie o tej porze uda mu się kupić bilet...

Włoscy politycy bywali bardziej uprzejmi: zdarzało mi się, że odlatujący z Sofii Aldo Moro zawracał ze schodków samolotu, żeby mi podziękować „za inteligentne tłumaczenie”, albo że Andreotti zęgnął się ze mną słowami: „Tym razem obaj dobrze się spisaliśmy, *arrivederci* do następnego spotkania”.

Kiedyś w dzień czy dwa po takim powrocie, jak powyżej opisany, natknąłem się na ulicy na szkolnego kolegę. Już z daleka zaczął wołać: „Tobie to się powodzi, widziałem cię wczoraj z oficjalną delegacją. Ciągłe po zagranicach, żyć nie umierać... A co wam dali do jedzenia na tym przyjęciu?”

Ten chłopak już od małego wszystkiego wszystkim zazdrościł, dlatego nie mogłem się oprzeć pokusie i zacząłem łączyć w żywe oczy: najpierw kawior i do niego wódka w mrożonych kieliszkach, potem zupa żółwiowa, koktajl z raków z sosem z siedmiu francuskich serów, przyprawionym drobno zmielonymi migdałami, smażone przepiórki, pieczona polędwica z hawajskich czarnych prosiąt z dodatkiem słodkich meksykańskich kartofli, a na zakończenie lody o nazwie Weneckie noce.

Tymczasem prawda jest taka, że podczas takich przyjęć podaje się zazwyczaj przystawkę, drugie danie i deser, a z napojów pół kieliszka białego wina, pół kieliszka czerwonego i na koniec, do toastów, ćwierć kieliszka szampana. Podaje się wszystkim, ale nie tłumaczowi, którego zadaniem jest siedzieć i tłumaczyć...



Rok 1995, Sofia - prezydent Włoch Oscar Luigi Scalfaro i prezydent Bułgarii Željko Želew

- A te weneckie lody to jakie? - pyta mój szkolny kolega.

- Nawet nie spróbowałem, bo już nie mogłem. Na początku chyba przesadziłem z kawiozem...

Kolega kręci głową i już go widzę, jak się będzie gryźć, że w swoim czasie nie poszedł na filologię, tylko na politechnikę...

W okresie mojego pobytu w Rzymie, przypadającego na lata 1979-1991, zasięg działania naszej ambasady obejmował cztery państwa: Włochy, Watykan, Malte i San Marino. Każde z nich miało swoją własną specyfikę, własny typ not werbalnych, przyjętych zwrotów grzecznościowych i nawet własny sposób adresowania, a przede wszystkim własną politykę w stosunku do Bułgarii. Przecinek, postawiony w nieodpowiednim miejscu, mógł spowodować dyplomatyczny skandal. Tymczasem bułgarskie teksty, które dostawałem od naszych dyplomatów do tłumaczenia, były w większości niechlujnie napisane, niejasne, po prostu nieprzetłumaczalne. Wziąłem więc na siebie obowiązki redaktora, zapraszając autorów do siebie i pytając, co konkretnie chcieli w tym to a tym miejscu powiedzieć. Szybko obróciło się to przeciwko mnie, gdyż zaczęli mnie traktować jako pracownika technicznego, pozostającego do ich wyłącznej dyspozycji, i przerzucać na mnie obowiązki udzielania pisemnej odpowiedzi na otrzymywane oficjalne pisma. Do dziś mam kopie ważnych not z włoskiego MSZ-u z pisemnym poleceniem naszego ambasadora: „Marczewski, proszę napisać odpowiedź, może być odmowna”.

Wkrótce po rozpoczęciu pracy w ambasadzie zorientowałem się, że przynajmniej połowa naszych tzw. dyplomatów kompletnie się do

tej pracy nie nadaje. Ambasador zdawał sobie z tego sprawę i załatwiając poszczególne problemy albo pytał Sofię, albo decydował sam, albo też przerzucał sprawę na mnie - zarówno sporządzenie noty, jak i jej wręczenie. Doszło do tego, że ja, który w ambasadzie byłem kimś w rodzaju maszynistki, musiałem decydować o tym, czy będziemy uczestniczyć w jakiejś wystawie, jaki będzie udział Bułgarii w kolejnym festiwalu filmowym, czy zaprosimy przedstawicieli Włoch na taką czy inną imprezę, szykującą się w naszym kraju... W tym samym czasie „towarzysz dyplomata”, oddelegowany właśnie do załatwiania tego

typu spraw, spokojnie inkasował co miesiąc pensję dwa razy wyższą od mojej, jeździł i woził swoją rodzinę służbowym samochodem, a jedyną sprawą, do której naprawdę się przykładał, było przeprowadzenie się do południowego mieszkania w ambasadzkiem bloku („Jestem dzieckiem aktywnego bojownika z faszyzmem i przysługują mi pewne prawa, mam dostać to mieszkanie i już!”).

Bułgarom za granicą poświęciłem osobny rozdział. Pewne rzeczy były rzeczywiście tragikomiczne i dziś, z perspektywy czasu, mogłyby się wydawać nieprawdopodobne – gdyby nie to, że się naprawdę zdarzyły.

WŁOCHY W PIGUŁCE

Wśród ponad 58 milionów mieszkańców Włoch lekko przeważają kobiety – 29 milionów. Przeciętna Włoszka ma 161 cm wzrostu, przeciętny Włoch – 173 cm. Na terenie Włoch mieszka ponad 3.432.631 (2008 r.) cudzoziemców.

Włochy dzielą się na 20 regionów, te z kolei – na 110 prowincji i 8101 gmin. Powierzchnia państwa wynosi 301 338 km². Najwyższym szczytem jest Mont Blanc (4810 m), najdłuższą rzeką – Pad (652 km). Długość linii brzegowej to w sumie 7600 km, podczas gdy długość włoskiego „buta” od Alp do Sycylii wynosi 1200 km. Najbardziej wysunięty na zachód punkt Sycylii (port Marsala) leży w odległości zaledwie 120 km od afrykańskiego lądu (przylądek Bon), a położoną jeszcze dalej na zachód włoską wysepkę Pantelleria dzieli od tunezyjskiego wybrzeża tylko 70 km.

Wyspa Pantelleria należy do prowincji, której stolicą jest tajemnicze sycylijskie miasto Trápani: liczy ono zaledwie 74.000 (2004 r.) mieszkańców, ale śmiało można je nazwać prawdziwą stolicą Sycylii. Nie tylko zresztą Sycylii, gdyż tu, w Trápani, mieszczą się sztaby zagranicznych central szpiegowskich, a w odległym o 35 km miasteczku Álcamo do niedawna znajdowała się największa na Sycylii wytwórnia narkotyków. Surowca do produkcji narkotyków dostarczała

jej przez całe lata turecka mafia, a dokładniej organizacja Szarych Wilków, których członkiem był Mehmet Ağca. Sam Ağca przyjeżdżał zresztą do Trápani w nieznanym celu na początku 1981 roku.

Włochy mają rozwiniętą sieć komunikacyjną: prawie 20 000 km linii kolejowych i 484 000 km dróg publicznych, w tym 6500 km wspaniałych autostrad! Drogami tymi jeździ co najmniej 38 milionów samochodów, jako że na każde dziesięć włoskich rodzin dziewięć ma samochód, z tym że niektóre po dwa i trzy.

We Włoszech zarejestrowanych jest około 30 milionów telefonów stacjonarnych i ponad 70 milionów telefonów komórkowych (2005 r.).

Włosi to naród smakoszy. Przeciętny Włoch zjada rocznie 28 kg makaronu, 50 kg pomidorów, 70 kg mięsa, 13 kg ryb i 51 kg owoców cytrusowych, wypija 58 litrów wina i 24 litry piwa oraz konsumuje 5 kg kawy mielonej.

Tylko dwóch Włochów na trzech myje ręce przed obiadem.

We Włoszech jest 26 tysięcy więźniów, w tym tysiąc kobiet. 600 więźniów skazanych jest na dożywocie. W czterech zamkniętych szpitalach przebywa 290 nieuleczalnie chorych trędowatych.

Zarejestrowanych jest tu aż 1 200 000 myśliwych, choć zwierząt łownych, poza rezerwatami, prawie nie ma: podczas inauguracji sezonu łowieckiego strzela się do wróbli, puszek po konserwach i rozwieszonych na krzakach beretów. Mimo to jednak już pierwszy dzień sezonu przynosi zazwyczaj ofiary z grona samych myśliwych.

Wszystko w tym kraju załatwia się przez znajomości i łapówki. Mnie samemu nigdy by się nie udało uzyskać w Rzymie prawa jazdy, gdyby nie telefon szefa protokołu włoskiego MSZ do przewodniczącego komisji egzaminacyjnej. Akcja „czyste ręce” nie zdołała powstrzymać korupcji, wprost przeciwnie: obecnie wysokość łapówki jest dziesięć razy większa, bo i ryzyko jest większe, a urzędnik, nad którym wisi niebezpieczeństwo zwolnienia, chce w zamian za to być zabezpieczony do końca życia.

Włosi wykazują niezwykły spryt w obchodzeniu prawa. Pewien znajomy neapolitańczyk opowiedział mi historię swojego krewniaka, właściciela fabryki eleganckich i bardzo poszukiwanych w Stanach

Zjednoczonych skórzanych rękawiczek. Bieda w tym, że rękawiczki te obłożone są tam dość wysokim cłem. Otóż jegomość ten wpadł na pomysł wysłania w charakterze „próbki towaru” skrzyni, w której było 50 000 prawych rękawiczek. Jednocześnie innym samolotem i do innego stanu powędrowała kolejna „próbka” – 50 000 rękawiczek lewych. Obie skrzynie zostały przetransportowane do nowojorskiego sklepu Bella Napoli, gdzie nastąpiło skompletowanie par i sprzedaż. I po co tu płacić cło!

Jednocześnie Włochy zajmują szóste miejsce na liście najbardziej uprzemysłowionych krajów świata, a ich wyroby są cenione za wysoką jakość i estetykę: maszyny, obuwie, konfekcja, przetwory spożywcze, samochody, helikoptery i oczywiście broń.

Jednocześnie Włochy są krajem nieustannych strajków, protestów, permanentnego kryzysu gospodarczego. Zadłużenie państwa, w przeliczeniu na głowę ludności, jest dziesięciokrotnie wyższe niż w Bułgarii.

Jednocześnie dochód narodowy jest wysoki a społeczeństwo ogólnie zamożne. Do przyzwoitego utrzymania rodziny wystarczy, by pracowała w niej tylko jedna osoba.

Nie wpływa to jednak na wzrost poziomu kulturalnego przeciętnego Włocha. Wspomniałem, że półtora miliona Włochów to analfabeci, a 18 milionów ma ukończone zaledwie cztery klasy.

Najczęstszym tematem rozmów pracowników ministerstw, banków, redakcji itp. jest to, co kto ostatnio jadł i jakie to było smaczne, co zrobi żona na kolację, jaki samochód kto sobie kupi i gdzie warto pojechać na urlop. Włosi uwielbiają plotkować – mężczyźni nawet bardziej niż kobiety, a najczęstszym tematem ich plotek są biurowe koleżanki.

Ponad sześć i pół miliona włoskich rodzin hoduje kota, osiem milionów ma psa – w sumie 14,5 miliona zwierząt domowych na 9 milionów dzieci poniżej 15 lat! Włosi twierdzą, że kochają zwierzęta, ale co roku ponad sto tysięcy zwierząt domowych, wyrzuconych z jadących na wakacje samochodów, ginie na włoskich autostradach.

Włochy zajmują pierwsze miejsce w Europie pod względem liczby zarejestrowanych właścicieli broni palnej (liczby niezarejestrowanych nikt nie zna). Włosi to naród pirotechników: uwielbiają huki, wystrzały, race i fajerwerki. Co roku od takich domowych wynalazków ginie co najmniej kilka osób, a setki – przede wszystkim dzieci – zostaje kalekami.

Włochy to kraj tajemnic, niezbadanych afer na sumy sięgające setek miliardów lirów, niewyjaśnionych od wielu lat zamachów na placu Fontana, na dworcu w Bolonii (87 zabitych), zestrzelenia samolotu nad miastem Ustica (wszyscy zginęli), tajemniczych śmierci bankierów Roberto Calviego i Michele Sindony, afery ze śmigłowcami wojskowymi Herkules i wielu innych.

W samym Rzymie jest ponad 90 000 narkomanów, ponad 30 000 prostytutek, 3000 bezdomnych i 150 000 emigrantów z całego świata.

Arezzo i Florencja to stolice włoskiej masonerii, prosperującej mimo skandali związanych z lożą P-2. Wśród włoskich masonów są wybitni politycy, bankierzy, przemysłowcy i biznesmeni, trzymający w rękach nici wielkiej gospodarki, a także polityki.

Sycylijska Katania zajmuje pierwsze miejsce w statystyce zabójstw.

Zdarzyło mi się odwiedzić i Katanę, i niedalekie miasteczko Corleone. Dwadzieścia tysięcy mieszkańców, centralny plac z kościołem, ciche uliczki – czasem przejdzie stadko kóz czy osiołek – a przy uliczkach kawiarenki, w których łagodni Sycylijczycy, ubrani mimo afrykańskiego upału w kamizelki na śnieżnobiałych koszulkach i czarne kaszkiety, spokojnie rozmawiają, popijając kawę. Ciche prowincjonalne miasteczko, zero hałasu, zero wystrzałów. A w rzeczywistości?

W rzeczywistości w tym właśnie cichym prowincjonalnym miasteczku urodził się i Luciano Liggio, i „szef szefów” – *capo dei capi* – Toto Riina, i najokrutniejszy najemny zabójca Giuseppe Greco, który z całą pewnością uczestniczył w egzekucjach generała Dalla Chiesa i jego żony oraz w zabójstwach posła La Torre, kapitana karabinierów Basilego i szefa sekcji zabójstw w Palermo, Giuliano. To stąd wyemigrowały do Ameryki potężne rodziny korleńczyków,

którym przez całe dziesięciolecia podporządkowana była cosa nostra. Tu mafiosi nie zajmują się takimi „drobiazgami” jak wymuszenia, kidnapping czy przestępstwa gospodarcze. Miasteczko Corleone jest punktem dystrybucyjnym napływających do Europy narkotyków i co drugi jego mieszkaniec to „specjalista” w dziedzinie, w której na jednym gramie czystej heroiny, kosztującym w kraju produkcji około 15 dolarów, zyskać można aż dziesięciokrotne przebicie!

Tu, w Corleone, mieszkał wiejski lekarz don Michele Navarra, który pracował w gminnej przychodni i leczył tutejszych mieszkańców, ale poza tym spełniał funkcję przedstawiciela cosa nostra na całe Włochy. Próbował on zlikwidować pochodzącego również z Corleone osławionego Luciana Liggio, ale skończyło się na zranieniu. Odpowiedź Liggio była celna i okrutna: podczas śledztwa w sprawie śmierci doktora Navarra na miejscu przestępstwa policja znalazła 320 łusek wszelkiego rodzaju broni!

W sumie od zakończenia drugiej wojny światowej do końca lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku odnotowano w Corleone 421 zabójstw i 72 osoby zaginione – tych nie wlicza się do zabójstw, bo nie znaleziono ciał. Policja dobrze zna nazwiska „dwunastu aniołów” Corleone – to najemni zabójcy, którzy nigdy nie pudłują. Składa się im zamówienie (stawka wynosi równowartość 2000 do 4000 dolarów) wraz z pięćdziesięcioprocentową zaliczką, oni je bez zbytniego hałasu realizują, a po powrocie do Corleone otrzymują resztę honorarium. Nieuchwytni, niekaralni, niewidzialni. Profesjonaliści. Jednym z nich może być właściciel kawiarenki albo miejscowy fryzjer, czy syn kierowniczkii szkoły, ale na te tematy tutaj się milczy. Nikt nic nie wie. Mężczyźni w kawiarenkach tłumaczą: „To na pewno nikt z naszych. Ludzie opowiadają różne bajki, żeby przyciągnąć turystów, i taka jest prawda...”.

Hasło cosa nostra brzmi: „Albo jesteś z nami, albo nie żyjesz”.

Mafia na Sycylii po części zachowała swój tradycyjny charakter. Kierują nią lekarze, bogaci właściciele ziemscy, jak baron Corleone, mieszkający w Stanach emigranci-aferzyści. Nowoczesnymi organizacjami przestępczymi są neapolitańska kamorra i kalabryjska

n'drangheta. Kamorra zajmuje też pierwsze miejsce pod względem dochodów, na drugim plasuje się sycylijska cosa nostra, na trzecim n'drangheta. Główne rodzaje działalności to przemyt narkotyków, wymuszenia, spekulacje związane z budownictwem publicznym oraz budową autostrad i hoteli. Rząd w Rzymie jest bezradny – Sycylia jest wyspą, Włochy to coś osobnego, leżącego wyżej na mapie, Włochy to „kontynent”.

Oczywiście nie należy Włoch utożsamiać z mafią i bandytyzmem. Złodzieje, mordercy i zorganizowana przestępczość istnieją w każdym europejskim kraju.

Przeciętny Włoch to człowiek ciekawy, życzliwy i uczynny. Włosi mają mocno rozwinięte poczucie obowiązku i przywiązania do dzieci

i rodziny, a także dalszych krewnych i przyjaciół. Wykształcenie nie przedstawia dla nich szczególnej wagi – zwłaszcza dla kobiet, które wcześniej przerywają naukę, by założyć rodzinę lub iść do pracy – ale cechuje ich zaradność i pomysłowość, często dają się poznać jako dobrzy mechanicy, utalentowani projektanci i sprawni organizatorzy. Lubią politykę i z reguły opowiadają się po stronie protestujących.

W końcu lat siedemdziesiątych Bułgaria była gościem honorowym dorocznego święta gazety „Unità” w mieście Bari. W tym samym czasie odbywał się tam jakiś ogromny wiec z udziałem co najmniej stu tysięcy osób. Wszędzie było widać czerwone sztandary z sierpem i młotem, ogromne portrety Ché Guevary, Fidela Castro, Ho Chi Minha i Mao Zedonga. Gdy mijaliśmy demonstrujących, ktoś z naszej delegacji poprosił mnie o pytanie któregoś z nich, co to za wiec. Pierwszy odpowiedział, że nie bardzo wie. Drugi odparł: „To wiec partyjny!”. Następny był bardziej konkretny: „To wiec protestacyjny”. A przeciw czemu? Tak dokładnie tu nie wiadomo. Najbardziej szczegółowej odpowiedzi udzielił demonstrant, niosący wielką czerwoną flagę: „My na tym wiecu protestujemy przeciwko wszystkiemu. Musicie wiedzieć, towarzyszu, że Włochy są krajem, w którym się protestuje!”.

Rdzenni Włosi nie istnieją. Przybywali tutaj i osiedlali się Etruskowie, Rzymianie, Ostrogoci, Longobardowie, Wandalowie, Protobułgarzy (dwukrotnie: raz w V, a drugi raz w VII wieku),

Hunowie, Normanowie, Słowianie, Grecy, Albańczycy, Arabowie i maltańscy piraci. Warto wspomnieć, że w słynnej wyprawie tysiąca garibaldczyków uczestniczyło aż dwudziestu czterech Bułgarów, wśród nich słynny działacz niepodległościowy Dymityr Obszti.

Ale to tylko na marginesie, o Bułgarach we Włoszech mowa będzie dalej.

Cudzoziemscy podróżnicy w swoich opisach często wypowiadają się o Włoszech krytycznie. Michel de Montaigne mówi, że „głównym zajęciem mieszkańców Rzymu jest nieustanne przechadzanie się po ulicach”, dla Stendhala „obywatele Rzymu są niegodnymi spadkobiercami wspaniałego cesarstwa rzymskiego”, a James Fenimore Cooper stwierdza, że najszcześliwszymi mieszkańcami Neapolu są żebracy i włóczędzy. Felix Mendelssohn w swoich *Listach z Włoch* pisze: „...nie wierzą oni [Włosi] w swoją katolicką religię, wyśmiewają się z papieża i z rządu i zupełnie nie znają swojej wspaniałej przeszłości...”.

We Włoszech działa 400 sekt religijnych i okultystycznych z ponad milionem zwolenników. Jest tam (według danych nieoficjalnych) 70 000 astrologów, wrózek i jasnowidzów, a Włosi na ich usługi wydają rocznie 20 miliardów euro! Talizman chroniący od uroku kosztuje 500-1000 euro, paczuszka ziół zapewniających miłość i wierność ukochanego – 500 euro...

Włosi lubią tajemnice i symbole. W mimice, gestykulacji odnaleźć można ślady wywodzące się z dalekiej przeszłości. Zbliżenie palca wskazującego do prawego oka nie oznacza, jak w Bułgarii, lekkiego powątpiewania („gadaj zdrów”), tylko ostrzeżenie: „uważaj, to niebezpieczny rozmówca, trzymaj język za zębami”; dotknięcie nosa przy jednoczesnym wskazaniu kogoś wzrokiem: „coś źle pachnie, naciągacz albo oszust”; dotknięcie ucha: „łajdak” albo „pederasta”; kciuk do góry to nie amerykańskie OK, tylko odpowiednik naszego środkowego palca (ten gest został w spadku po starożytnych Rzymianach); wyprostowanie palca wskazującego i małego oznacza rogowca, a przytknięcie do policzka palca wskazującego i zakręcenie nim – smaczne jedzenie.

Włosi lubią także kobiety, a zwłaszcza lubią uchodzić za wielkich kochanków i uwodzicieli. Uwielbiają się przechwalać swoimi sukcesami miłosnymi, opowiadać – na przykład po podróży do naszego kraju – ile Bułgarek w sobie rozkochali i ile „zaliczyli”. Za tymi opowieściami kryje się czysto włoski kompleks niższości, bo w swoim rodzinnym miasteczku taki opowiadacz nie śmie nawet zagadać do

dziewczyny. Nic więc dziwnego, że jak wskazują statystyki, pod względem satysfakcji seksualnej Włoszki sytuują się na jednym z ostatnich miejsc w Europie. Za to za granicą w ich partnerów wstępują lwy...

Wielokrotnie bawił mnie widok taksówkarzy, czyhających w holu sofijskiego hotelu Radisson na klientów. Mają siódmy zmysł, dzięki któremu bezbłędnie rozpoznają narodowość cudzoziemców. Niemcy znalazłszy się w hotelu z miejsca kierują się do plakatu proponującego wycieczki do Monasteru Rylskiego, Kopriwszticy, Płowdiwu. Francuzi i turyści z Izraela przede wszystkim sprawdzają kurs wymiany euro. A Włosi? Ci podchodzą do fotografii półnagich tancerek występujących w hotelowym barze. I tu już na nich czeka nasz Iwaneczko, właściciel białego mercedesa, specjalista od Włochów, i grzecznie zagaduje w łamanym ich ojczystym języku: *Signore, serve un taxi? Tu volere vedere Sofia di notte?*. Perspektywa nocnej Sofii brzmi kusząco, signore jest zachwycony, wyjazd o siódmej wieczorem, koszt w euro... Ależ ta Sofia tania!

Tania zwłaszcza dla mieszkańca Włoch, które są jednym z najbardziej rozwiniętych gospodarczo krajów świata. Zawdzięczają to setkom tysięcy pracowitych inżynierów, techników, robotników, którzy są mistrzami wzornictwa artystycznego i prostych, lecz wysoce efektywnych rozwiązań technicznych. Włochy mają potężny przemysł chemiczny i metalurgiczny, produkują niezrównane pod względem precyzji obrabiarki do metalu. Duża część potencjału przemysłowego tego kraju to średnie i drobne przedsiębiorstwa, małe fabryczki zatrudniające około trzydziestu robotników i techników, często między sobą spokrewnionych, którzy umieją wyprodukować wszystko – od obuwia po maszyny do obróbki drewna czy broń. Włosi nie lubią dużo

mówić o swoim przemyśle zbrojeniowym, ale faktem jest, że przynosi on krajowi więcej dochodu niż przemysł samochodowy. Warto wspomnieć i o rolnictwie, w dużym stopniu wyspecjalizowanym w konkretnych dziedzinach, z silnymi spółdzielniami rolniczymi, które istnieją jeszcze od czasów Mussoliniego, zatrudniają własnych agronomów, zootechników i lekarzy weterynarii, dysponują ogromnymi chłodniami, w których na przykład truskawki przechowywane są aż do Wielkanocy. I wreszcie handel zagraniczny, wykorzystujący właściwy wielu Włochom talent negocjacyjny i umiejętność przekonywania.

Bywają i we włoskiej gospodarce trudniejsze momenty, ale w ich przewyciężaniu pomaga swoisty „wentyl bezpieczeństwa”, jakim jest turystyka – najpotężniejsza i najbardziej stabilna gałąź włoskiej gospodarki. Kraj ten odwiedza co roku około 30 milionów turystów zagranicznych! Ogromne dochody, zatrudnienie dla hotelarzy, przewodników i muzealników, pracowników kolei i towarzystw lotniczych... Do tego strumień dewiz, wpływających bezpośrednio do skarbu państwa.

I takie są Włochy. Kraj o siedmiu twarzach, zarazem i podstępny, i przyjazny. Ojczyzna takich postaci jak: Dante, Petrarca, Boccaccio, Rafael, Michał Anioł, Galileusz, Giordano Bruno...

I zarazem ojczyzna Lukrecji Borgii i Katarzyny Medycejskiej, Macchiavellego i mafii cosa nostra, Luciana Liggio i Ala Capone, kamorry i Czerwonych Brygad...

Tu, we Włoszech, odkryta została elektryczność (Galvani), tu powstało pierwsze wahadło i termometr (Galileusz), barometr i piorunochron (Toricelli), mechanizm balansowy zegara (papież Sylwester II), kusza (w weneckich warsztatach zbrojeniowych) i broń krótkolufowa – pistolet (Pistoia), tu wymyślono pas cnoty (księżę Franciszek I z Padwy), tu skonstruowano pierwsze radio (Marconi) i odkryto energię atomową (Enrico Fermi)...

Tu, we Włoszech, znalazłem się i ja jako skromny tłumacz ambasady bułgarskiej w Rzymie. Przez dwanaście pełnych lat przeżyłem wiele i w wielu miejscach bywałem: od będących symbolem *dolce vita* – słodkiego życia – kawiarni na Via Veneto do

ponurych więzień Rebibbia, Ascoli Piceno i tego najgorszego, więzienia na wyspie Asinara, skąd nie da się uciec nawet helikopterem, bo jest tu na stałe włączony automatyczny system raketowy, strzelający do każdego nisko lecącego obiektu.

Włochy to kraj siedmiu twarzy i siedemnastu dialektów, kraj poetów i najemnych morderców, kraj pięknych kobiet, których intelekt nie zawsze jest równie oszałamiający, jak uroda...

Pamiętam, kiedyś zaprosiłem na kolację do restauracji hotelu Exelsior pewną wschodzącą gwiazdkę filmową. Dziewczyna wyglądała jakby zeszła z obrazu Tycjana. Goście z sąsiednich stolików wykręcali sobie szyje, by na nią patrzeć. Przy moim krześle stoi na baczność chiński kelner, drugi o krok za nim. Srebrne sztucce, lniane obrusy, popielniczka z agatu. „Na początek proponuję czarny kawior na lodzie z cytryną!” – mówi Chińczyk. Kiwam aprobująco głową, ale i dziewczę chce coś dodać: „Dobrze, tylko żeby nie był za mocno wysmażony!”. Biedactwo, nie dość, że nigdy w życiu nie jadło kawioru, to i nigdy o nim nie słyszało. Kelner profesjonalista z kamienną twarzą przyjmuje zamówienie i po chwili przynosi dla mnie kawior, a dla mojej towarzyszki pulchny sznycel wieprzowy. Puszcza do mnie oko i znika za kuchennym parawanem.

Dziewczyna musiała szybko się otrząsać ze światowym życiem, bo w następnych latach zrobiła karierę zarówno w filmie, jak i w telewizji. Do dziś dnia widuję ją jako spikerkę w programie RAI UNO. Na Boże Narodzenie i Wielkanoc przysyła mi karty z życzeniami. Dobrze, że nie przyszło jej do głowy podać mnie do sądu o alimenty... Ma nieślubne dziecko, z pewnością z jakimś reżyserem. U nas nazwano by ją „samotną matką”, we Włoszech odpowiednie określenie brzmi *ragazza-madre* (dziewczyna-matka) – pewnie dlatego, że tam takie dziewczyny nigdy nie bywają samotne...

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków,
zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów
i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy
i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej
i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel.: (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

Biuro handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks: (0 22) 620 87 03

e-mail: biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl

<http://www.wydawnictwodialog.pl>

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna